Piotr Kimla

Jakiej demokracji Polacy potrzebują?

W tytule artykułu zawarta jest sugestia, że istnieje wiele rodzajów demokracji i demokracja demokracji nierówna. Tak jest w istocie. W zachodnich demokracjach do niedawna widoczny gołym okiem był komponent oligarchiczny. Przykładowo, znawcy francuskiej polityki podśmiewali się, że w tym demokratycznym kraju mamy do czynienia z dziedziczeniem urzędów: po starym Debré przyszło dwóch młodych Debré, a po starym Joxe młody Joxe. W prezentowanych rozważaniach chodzi mi jednak o sprawę zasadniczą. O fundamentalny podział na demokrację woluntarystyczną i demokrację nomokratyczną. Nawiązuję tym samym do klasycznego, Arystotelesowskiego kryterium podziału systemów władzy. Dla Stagiryty zasadniczą linię demarkacyjną dającą odpowiedź na pytanie, czy rządzący (wszystko jedno czy są nimi większość ludu, określona grupa ludzi lub jedna osoba) w swoich poczynaniach kierują się prawem, czy też kierują się własną, niczym nie skrępowaną wolą. Jeśli kierują się własną wolą nie mamy w gruncie rzeczy do czynienia z ustrojem politycznym, lecz z określoną formą tyranii (większościową, grupową, jednoosobową). Przypomnienie tych oczywistości wydaje się potrzebne w kontekście współczesnych rozważań nad ustrojem demokratycznym. Są one ważne, bo jesteśmy blisko stanu rzeczy, w którym górę weźmie woluntarystyczny wariant demokracji, a zatem większościowa forma tyranii. Nie chodzi przy tym o zagrożenie występujące w ustrojach demokratycznych w postaci tyranii większości, to znaczy o sytuację, gdy głos pojedynczych obywateli lub ich mniejszości nie jest słyszalny w zderzeniu z głosem większości. Już w dziewiętnastym wieku na tę dolegliwość demokracji zwracał uwagę John Stuart Mill. Nie chodzi również o to, że dominacja większości w ustrojach demokratycznych czyni z nich ustroje konformistyczne, ponieważ myśląca odmiennie mniejszość, nie chcąc być zmarginalizowana, skłania się do dostosowania swoich postaw i myślenia do większości. Pouczył nas o tym dwa wieki temu Alexis de Tocqueville, a w dwudziestym wieku przypomniał chociażby Alan Bloom. Kiedy piszę o tyranii większości to stwierdzenie to należy rozumieć dosłownie, a mianowicie, że demokracja nie oparta na prawie, lecz na woli większości ludu jest tyranią sprawowaną przez

większość obywateli. Ściślej przez większość kierowaną przez przywódcę ludu-demagoga.

W drugiej połowie dwudziestego wieku myśliciele polityczni stali się mniej wyczuleni na zagrożenia wolności tkwiące w ustroju demokratycznym. Ściśle rzecz biorąc, w przedstawicielskiej demokracji liberalnej ukształtowanej na zachodzie Europy. Istniała w każdym razie silna pokusa, by ujawniające się w pierwszej połowie ubiegłego wieku przekształcenia systemów demokratycznych w systemy autorytarne (co stało się chociażby w Polsce po zamachu majowym Józefa Piłsudskiego w 1926 roku) czy w systemy totalitarne (co zaszło w Niemczech po dojściu Hitlera do władzy w 1933 roku) składać przede wszystkim na karb skutków I wojny światowej, zmiany granic i pojawienia się na mapie nowych państw, wielkiego kryzysu gospodarczego itp. Po II wojnie światowej i ukształtowaniu dwóch wrogich sobie bloków – liberalno-demokratycznego na czele z USA i komunistycznego na czele z ZSRR – trudno było myśleć, że liberalno-demokratyczny ustrój ma w sobie wciąż rzeczywisty potencjał przekształcenia się w tyranię. Klasyczna praca Jacoba L. Talmona *Źródła demokracji totalitarnej*, wydana w Nowym Jorku w 1952 roku, nie była i nie jest do dziś w Polsce – ze zbyt małymi wyjątkami, aby o nich wspominać – intensywnie studiowana i publicznie dyskutowana, choć została spolszczona w 2015 roku. Generalnie zatem refleksje klasyków myśli politycznej – od Platona począwszy – którzy zwracali uwagę na niebezpieczeństwa tkwiące w samej naturze systemów demokratycznych, został w drugiej połowie dwudziestego wieku odsunięty na dalszy plan. To wiek dwudziesty pierwszy, czasy nam współczesne i koncepcja „demokracji nieliberalnej" zmuszają nas do przypomnienia sobie o niebezpieczeństwach immanentnie złączonych z ustrojem demokratycznym. Niebezpieczeństwach złączonych, mówiąc najogólniej, z woluntarystyczną odmianą demokracji.

Podstawą demokracji woluntarystycznej jest absolutyzacja woli ludu. Oznacza ona obsadzenie ludu w roli omnipotentnego podmiotu władzy, który może tworzyć i znosić reguły prawne wedle własnego uznania, bo przecież demokracja jest „władzą ludu, dla ludu, przez lud". Tym samym wola ludu zostaje usytuowana ponad prawem. Koncepcja ta czerpie swoją siłę z przekonania, że lud nie jest w stanie uchwalić niczego złego przeciwko sobie. Wspomniany Talmon wywodzi tę koncepcję od Jana Jakuba Rousseau, ale erudyci, których nie brakuje wśród czytelników „Przeglądu", wiedzą, że

wcześniej pojawia się ona u Barucha Spinozy, a przed Spinozą u Marsyliusza z Padwy. To ten ostatni – w kontrze do św. Tomasza – nie widział potrzeby, by norma prawna spełniała dwa kryteria wewnętrzne, to znaczy była rozumna i nakierowana na realizację dobra wspólnego. Skoro była uchwalana przez lud, to dla Marsyliusza było rzeczą pewną, że będzie rozumna i będzie realizować dobro wspólne. Lud przecież, powtórzę, nie uchwali nigdy niczego złego przeciw sobie. Nie sądźcie państwo, że, gdy piszę o sytuowaniu woli ludu ponad prawem, to wikłam się w jakieś teoretyczne dywagacje, nie mające nic wspólnego z polityczną praktyką. Przypominam wypowiedź Kornela Morawieckiego – ojca byłego premiera Mateusza Morawieckiego – wygłoszoną w polskim Sejmie 25 listopada 2015 roku: „Prawo jest rzeczą ważną, ale prawo to nie świętość! Nad prawem jest dobro narodu! Jeżeli prawo to dobro zaburza, to nie wolno nam uważać go za coś, czego nie możemy naruszyć, czego nie możemy zmienić".

Jeżeli jednak ustrój polityczny pojmujemy w klasyczny sposób, czyli jako ograniczenie woli i władzy rządzących przy pomocy trwałych reguł prawnych, to woluntarystyczna wersja demokracji, zbudowana na absolutyzacji woli ludu, nie jest ustrojem politycznym, lecz tyranią. Nie może nas zmylić rzekoma gwarancja niemożliwości popadnięcia w tyranię, skoro decyduje większość. Nie może nas zmylić, ponieważ większość nie jest samodzielna w sądzeniu, lecz podlega „kierownictwu" i manipulacji ze strony przywódcy większości, przywódcy partyjnego, demagoga. To ten przywódca, upewniwszy lud w jego nieomylności i wszechwładzy, stara się kierować pod obrady ludu jak największą ilość spraw (w demokracji bezpośredniej) lub pod obrady przedstawicieli ludu (w demokracji parlamentarnej), wskutek czego utrwalone zasady zostają zniszczone i zastąpione przygodnymi uchwałami ludu/przedstawicieli ludu, które nie zmierzają do trwałego regulowania stosunków międzyludzkich (czym powinno być prawo), lecz odzwierciedlają jedynie partykularne interesy zgromadzenia ludowego, wmówione zresztą temu zgromadzeniu przez przywódcę ludu-demagoga. Innymi słowy fakt, że uchwały ludowe uchwalane są przez większość ludu lub, współcześnie, przez reprezentantów większości, nie zmienia w niczym tego, że prowadzą do labilności, niestabilności prawa, są nieustannym majstrowaniem przy zasadach prawnych i rozmontowywaniem ich. Niweczą zatem ustrój polityczny, przekształcając go w tyranię. „Słusznie więc (…) można podnieść zarzut, że

taka demokracja w ogóle nie jest ustrojem, bo gdzie prawa nie rządzą, tam nie ma ustroju. Prawo bowiem musi panować nad wszystkim (…)". (Arystoteles, *Polityka*, ks. IV). Przejawy woli ludu czyli jego uchwały doprowadzają do destrukcji stałych zasad prawnych, podobnie jak jednoosobowy tyran doprowadza do labilności prawa, wydając coraz to nowe „akty prawne" wedle własnego widzimisię. Demagodzy demokratyczni mają, naturalnie, swoją własną koncepcję prawa, „powiadają mianowicie, że prawem jest to, co uchwali większa masa ludzi", ale to jest równie niedorzeczne, jak twierdzenie zwolenników oligarchii, wedle których wola bogaczy stanowi prawo. Powtórzę zatem, że fakt, iż owych manipulacji przy normach prawnych trwale porządkujących rzeczywistość polityczną dokonuje większość ludu lub wybrani przedstawiciele ludu, nie zdejmuje z tych działań odium tyranii. „Toteż taka demokracja odgrywa rolę analogiczną do tyranii (…). Stąd i charakter obu ustrojów jest ten sam, w obu lepsi znoszą bezwzględny ucisk, uchwały ludu są tu tym, czym tam [w jednoosobowej tyranii – P.K.] rozporządzenia, a demagog pełni rolę analogiczną do pochlebcy: jeden i drugi ma wielki wpływ, pochlebca u tyranów, demagog w takiego rodzaju demokracji [demokracji woluntarystycznej, w której lud jako wielogłowy monarcha stawia swoją wolę ponad prawem pod wpływem demagoga – P.K.]". (Arystoteles, *Polityka*, ks. IV).

Demokrację jako dobrą, nomokratyczną formę ustrojową, taką, jakiej potrzebujemy, starano się uzyskać w przeszłości i utrzymywać przy życiu przez swoistą depolityzację ludu. Poprzez wytworzenie pośród ludu przeświadczenia o konieczności samoograniczenia się. Konieczności przedkładania roli strażnika praw, strażnika norm ogólnych nad rolę omnipotentnego podmiotu władzy. Argumentowano, że sprawowanie władzy być może wzmaga poczucie istnienia, ale nie daje szczęścia i nie może być właściwą drogą do własnego spełnienia. Jest natomiast trudnym do wypełniania obowiązkiem. Zwracano uwagę, że aby uświadomić sobie ciężar związany z rządzeniem niezwykle pożądane jest, aby obywatel w trakcie swojego życia nie tylko był zobligowany do posłuchu wobec władzy, lecz także miał możliwość – choćby przez jakiś czas – władzę sprawować. Sytuacja zmienności pozycji rządzony-rządzący niezmiernie pogłębia rozumienie politycznych spraw. *Nota bene* w starożytności, wspomniana wymienność ról, była istotnym warunkiem prawidłowego funkcjonowania demokracji bezpośredniej. W każdym razie to

dzięki zbudowaniu i wierze w powyższą narrację możliwe było utrzymanie demokracji jako systemu, w którym panuje prawo, bez stawiania nad wolą ludu, czyjejś innej woli, która by to prawo wprowadzała, stała na straży jego obowiązywalności oraz nadrzędności wobec woli ludu. Ustanowienie takiej nadrzędnej woli byłoby, rzecz oczywista, przejściem do innego systemu (monarchicznego bądź tyrańskiego – jeśli byłaby to wola jednoosobowa, arystokratycznego bądź oligarchicznego – jeśli byłaby to wola grupowa).

Chcę wyraźnie podkreślić, że warunki do zbudowania wyżej nakreślonego stanu świadomości ludu stają się coraz trudniejsze. Raz będąc fundamentalnym, powiem, że coraz bardziej graniczą z niemożliwością. Na naszych oczach przebiega dynamiczny i całkowicie odwrotny proces skrajnego upolitycznia *demosu*. „Reprezentatywna próbka" ludu jest nieustannie bombardowana pytaniami sformułowanymi przez przedstawicieli najróżniejszych ośrodków sondażowych o każdą niemal sprawę, czy to z zakresu polityki międzynarodowej, ogólnokrajowej, lokalnej, społecznej czy też z zakresu ekonomii. Przyszłość ustroju demokratycznego w wersji nomokratycznej, którego potrzebujemy jak kania dżdżu, aby dokonać dalszych postępów w cywilizacji, nie tylko nie jawi się jako świetlana. Jest na skraju załamania albo już stacza się w otchłannie głęboki tunel, w którym nie ma światełka. Brzmi to tragicznie i alarmistycznie. Nie sądzę jednak, aby czytelnicy tych łam – jako realiści – chcieli odwracać wzrok od rzeczywistości tylko dlatego, że jest naga.